WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 93 5 SIERPNIA 1975 R. CENA 1,50 ZŁ

JAK URATOWANO POLSKIEGO MARYNARZA?

BŁYSKAWICZNA AKCJA NA MORZU KARAIBSKIM

SUKCES:
- **MEDICAL RADIO W GDYNI**
- **AMERYKAŃSKIEJ STRAŻY GRANICZNEJ COAST GUARD**
- **LOTNICTWA USA**

Na pokładzie M/S „Powstaniec Wielkopolski" w rejsie do Ameryki zachorował ciężko w początkach lipca starszy kucharz — Jan Strachota. Objawy choroby przekazuje się drogą radiową do stacji Medical Radio w Gdyni. Wstępna diagnoza: niewydolność nerek.

Mimo stosowanych środków stan chorego pogarsza się.

Kapitan statku — Danuta Kobylińska-Walas, 7 lipca zwraca się przez radio o pomoc do Konsulatu Generalnego PRL w Nowym Jorku.

Zawiadomiona natychmiast amerykańska straż graniczna — Coast Guard — nie może udzielić pomocy, bo „Powstaniec Wielkopolski" jest poza zasięgiem jej helikopterów. Zawiadamia jednak władze amerykańskie. Te z kolei proszą o pomoc bazę lotnictwa koło Pensacola na Florydzie.

Z bazy lotnictwa po kilku godzinach wylatuje samolot wojskowy z lekarzem i sanitariuszami.

Wszyscy skaczą na spadochronach w pobliżu statku i zostają wyłowieni przez załogę. Natychmiast udzielają pomocy choremu, potwierdzając diagnozę Medical Radio z Gdyni.

Statek zbliża się do stacji morskiej straży granicznej w Miami. Wypływa łódź motorowa i 9 lipca zabiera chorego z pokładu. Po zabiegu pacjent czuje się dobrze. **(bis)**

NOWY ŚWIĘTÓW (HSI). Letnie plemię „Czarna strzała" zorganizowało sobie imponującą bazę. Obszerną, niedostępną, tajemniczą... Na rzece Białej Głuchołaskiej jest bo-

TAJEMNICZA WYSPA

wiem wysepka (plemię nazwało ją wyspą „Tam-Tam"), na której stanęło pięć szałasów. Miejsca jest jeszcze dosyć, aby wieczorem móc rozpalić ognisko i długo śpiewać, piekąc kiełbaski nad płomieniem.

Emilia Zubik

3×3 TU LIGA WĘDRUJĄCYCH REPORTERÓW!

UWAGA—ZLOT

WITAM WAS!

Ogłaszam dzisiaj Drugi Zlot Wędrujących Reporterów.

Wszyscy reporterzy „Świata Młodych" i ci, którzy chcieliby nimi zostać, znajdujący się aktualnie w pobliżu **Elbląga,** mogą wziąć udział w zlocie reporterów.

Spotykamy się dnia 8 sierpnia br. w Elblągu, przed budynkiem poczty na rogu ulic 1 Maja i 12 Lutego o godz. 12. Szef Ligi Reporterów będzie na Was czekał w tym miejscu. **Znak rozpoznawczy: egzemplarz „Świata Młodych" w ręku.**

Po spotkaniu nastąpi turniej reporterów. Każdy uczestnik dostanie jedno zadanie do wykonania — zebranie informacji do artykułu na temat stolicy nowego województwa i życia jej mieszkańców.

Wieczorem, na ognisku zorganizowanym przez uczestników I Rajdu Rowerowego „Świata Młodych", zostaną wręczone cenne nagrody dla autorów najlepszych prac reporterskich.

Nagrodzone reportaże zostaną później wydrukowane w gazecie.

ZAPAMIĘTAJ! Jesteś już reporterem naszej gazety, czy też pragniesz nim dopiero zostać — przyjdź na spotkanie z Szefem Ligi Reporterów. Cenne nagrody czekają!

Szef Ligi Reporterów
WOJCIECH PIELECKI

UWAGA, KORESPONDENCI HSI!

W szóstym tygodniu trwania konkursu nagrody, torby „Świata Młodych" wylosowali: ALINA MOŻDZIEŻ ze Świętna, GABRIELA SKRZYPCZAK z Korzeńska i BOŻENA BAJBAK z Radzynia Podlaskiego. Gratulujemy!

OBOZOWICZE I NAL-OWCY! WĘDROWCY PIESI I ROWEROWI Z ELBLĄGA I OKOLIC!

Już 8 sierpnia na terenie parku Bażanciarnia rozbije swój biwak rajdowa drużyna „Świata Młodych".

ZLOT ZASTĘPOWYCH NIEOBOZOWEGO LATA centralnym punktem elbląskiego spotkania, którego organizatorem jest Komenda Chorągwi ZHP.

W programie imprezy:

- **gwiaździ- zlot rowerzystów, połączo konkursem na najciekawszy rt o bezpieczeństwie na drogach;**
- **spotkanie z zastępowymi w stanicy nieobozowego lata;**
- **konkursy, gry i zabawy sportowe oraz inne atrakcje i niespodzianki;**
- **występ artystyczny zespołu rajdowego.**

Dla zwycięzców konkursów rajdowa drużyna wiezie w swoich sakwach wiele nagród-niespodzianek.

Zapraszamy wszystkich na spotkanie w Bażanciarni!

CO Z TEGO WYROŚNIE?

Z początkiem lipca w pobliżu nawet najmniejszych zbiorników wodnych pojawiają się bardzo ruchliwe maleńkie ropuszki, które w tym mniej więcej czasie rozpoczynają swój żywot na lądzie. Szczególnie dużo ich widać wieczorem — tuż, przed i po zachodzie słońca. Tę na zdjęciu, mającą około 10 milimetrów długości, sfotografowaliśmy na działce w momencie, gdy próbowała szukać czegoś do zjedzenia we wnętrzu jednego z kielichów kwiatowych goździka chińskiego.

Inne zdjęcia ciekawostek przyrodniczych na str. 5 pod tytułem: FOTOGRAFICZNE ŁOWY.

Zdjęcie: **J. DĄBROWSKI**

Dziś przedstawiamy:

Liberia

Historia Liberii, kraju afrykańskiego graniczącego z Sierra Leone, Gwineą i Wybrzeżem Kości Słoniowej, ma swój początek w USA. Gdy zaczęła się tam powiększać liczba wyzwolonych z niewoli Murzynów, grono filantropów i polityków zainteresowanych w usunięciu wyzwoleńców ze Stanów Zjednoczonych, założyło Towarzystwo Kolonizacyjne dla Osadnictwa Wolnych Ludzi Kolorowych. W 1821 r. 88 kolorowych emigrantów wysiadło z żaglowca „Nautilus" na przylądku u ujścia rzeki Mesurado do Zatoki Gwinejskiej. Zakupiono tu od miejscowych wodzów teren długości 130 mil i szerokości 30 mil. Tu na przylądku Mesurado założyli przybysze stolicę Liberii. Początkowo nazywała się ona Christopolis (miasto Chrystusa), potem, na cześć prezydenta USA — Monroe, aż wreszcie przemianowano ją na Monrowię. Nazwa ta przetrwała do dnia dzisiejszego. Stosunki między miejscową ludnością a kolonistami ułożyły się źle — dochodziło do starć zbrojnych. W 1824 r. przyjęto dla tworzonego organizmu państwowego nazwę Liberia. I choć w ustanowionym prawie istniał zakaz wszelkich form niewolnictwa, prawa obywatelskie otrzymali tylko przybysze. Na ich plantacjach pojawili się niewolnicy z miejscowego plemienia. Początkowo Liberią zarządzało Towarzystwo Kolonizacyjne. Niepodległość proklamowano w 1847 r. Liberia pozostawała w izolacji międzynarodowej i ekonomicznej. Różne kraje poszukując nowych kolonii, chciały wkroczyć na terytorium Liberii. Organizowano prowokacje i bunty szukając pretekstu dla interwencji.

Ustrój liberyjski wzoruje się na amerykańskim. Jest Kongres, krajem kieruje prezydent, W. R. Tolbert.

Konstytucja uchwalona wraz z ogłoszeniem niepodległości obowiązuje dotychczas z niewielkimi zmianami. Znalazło się w niej określenie, że obywatelem republiki może zostać tylko przedstawiciel rasy czarnej. A jednak wśród obywateli liberyjskich jest wyraźny podział na „Amerykanów", potomków pierwszych osadników i „tubylców". Obecne władze podejmują pewne kroki, by zbliżyć do siebie obie społeczności.

Niedawno Liberia obchodziła święto narodowe, rocznicę proklamowania niepodległości.

(bz)

CO TO ZNACZY BYĆ ODWAŻNYM?

CZYNY WIELKIE, ŚREDNIE I MAŁE

Krzysztof wymknął się z obozu. Chciał posiedzieć z godzinę nad jeziorem i połowić ryby. Nagle usłyszał wołanie:

— Ratunku! Ratunku!

Bez namysłu ściągnął koszulę, zrzucił buty i wskoczył do wody. Na środku jeziora woda była wzburzona. Czyjaś głowa ukazywała się i natychmiast znikała. Krzysiek szybko płynął w tę stronę, przypominając sobie nerwowo jak należy ratować tonących. Znalazł się wreszcie przy Jacku — już go poznał — i chwycił mocno za brodę. Przewrócił na plecy i zaczął holować do brzegu.

Cały obóz komentował to wydarzenie przez kilka dni. Krzysiek dostał pochwałę na apelu. Podobno ma otrzymać medal „Za męstwo i odwagę". Wszyscy przyznają, że zasłużył na to.

WYJĄTKOWA SYTUACJA...

...rodzi odważnych ludzi. Każdy może zdobyć się na odwagę, może dokonać czegoś wyjątkowego, jeśli... znajdzie się w niecodziennej sytuacji, wyzwalającej silne emocje, zwłaszcza gdy stawką jest życie drugiego człowieka. Dlatego też m. in. okres wojen obfituje w bohaterskie czyny. Wojenne sytuacje wyzwalają bowiem wiele silnych emocji, hamując jednocześnie uczucie lęku. Wtedy stać człowieka na wszystko.

A jacy są ci odważni ludzie, dokonujący niezwykłych czynów? Zapytywani o to, bardzo często nie potrafią odpowiedzieć, dlaczego zachowali się właśnie tak, a nie inaczej. Nic szczególnego ich nie wyróżnia. Nie są (b. często) oni dobrze zbudowani, ani też nie odznaczają się jakimiś innymi „nadprzyrodzonymi" cechami. Odpowiadając zaś na pytanie, czy gdyby znaleźli się znów w podobnej sytuacji, postąpiliby tak samo, długo się wahają i praktycznie nie dają jednoznacznej odpowiedzi.

Jedna tylko cecha wyróżnia ich. Potwierdzają to liczne badania psychologiczne. **Ci, którzy dokonali niezwykłych czynów, potrafią sprawnie działać mimo silnego zastrzyku emocji. Nie tracą głowy, myślą logicznie, przewidują, szybko analizując spostrzeżoną sytuację. Ale to raczej cecha nabyta, wytrenowana, wcale nie nadludzka. Praktycznie więc bohaterem może być każdy!**

Jak się jednak okazuje, na to, czy ktoś zostanie bohaterem, ma wpływ nie tylko on sam, ale także ludzie znajdujący się obok. Psychologowie przeprowadzili np. bardzo ciekawy eksperyment, który wykazał niezbicie, że **im więcej jest ludzi, mogących pomóc w krytycznej sytuacji jakiejś potrzebującej osobie, tym mniejsza jest szansa, że pomoże ktokolwiek.** Dlaczego? Sprawa prosta — zostaje wyzwolona typowa reakcja w grupie — oglądanie się na innych. Każdy, stojący wobec konieczności przyjścia z pomocą, w pierwszej chwili ogląda się na innych, ponieważ nikt nie lubi narażać własnego życia. Im więcej ludzi, tym większy procent obecnych mówi sobie: „To nie moja sprawa; czy muszę ja? Jest przecież tylu ludzi wokół". Kto wie, czy gdyby obok Krzysztofa znajdowali się inni koledzy, zdecydowałby się on tak szybko na działanie. A może nikt by się nie zdecydował?

ODWAGA NA CO DZIEŃ

W czasie pokoju sytuacje wymagające narażenia własnego życia są nieporównanie rzadsze niż w okresie wojny. A przecież często słyszy się określenie: to jest odważny człowiek! No, dobrze, ale jeśli nie znajdował się ani razu w niezwykłej sytuacji — nie ratował dziecka z płonącego domu, nie wyciągał spod kół pędzącego pociągu bawiącego się na szynach malucha — to skąd jego odwaga?

Jacek wybił szybę piłką. Nikt tego nie widział. Mógł uciec. Został jednak na „placu boju" i poniósł wszelkie konsekwencje. Kiedy koledzy pytali go, dlaczego nie schował się, odpowiedział, że nie lubi, by ktoś inny cierpiał z jego powodu. Poniósł więc koszty naprawy okna.

Przed wyjazdem na obóz Janek twierdził głośno wobec wszystkich, że Marcin będzie z pewnością złym obrońcą i obóz po kilku dniach trzeba będzie zwinąć, jeśli oczywiście, coś jeszcze z niego zostanie. Mówił tak trochę dlatego, ponieważ uważał, że on byłby lepszym kandydatem na tę funkcję. Ale kiedy okazało się, że Marcin radzi sobie bardzo dobrze i o zwijaniu obozu nikt nie myślał, Janek nie zapomniał tego, co mówił wcześniej, lecz otwarcie i głośno przyznał się do swojej pomyłki.

Historię Jacka i Janka zaczerpnąłem z listów, jakie nadeszły ostatnio do redakcji. Te dwa przykłady świadczą chyba dość dobrze o odwadze na co dzień. **O odwadze cywilnej, nie wymagającej przelewu krwi, narażania życia, lecz... silnego charakteru.** Przyznać się do pomyłki, wskazać własny błąd — jakie to niepopularne i rzadkie! I może dlatego tych, którzy to potrafią, nazywa się odważnymi.

Ale to tylko jedna strona medalu pt. „odwaga na co dzień". Druga nazywa się „mieć własne zdanie". Bo mieć je i prezentować znaczy często — mieć odwagę przeciwstawić się innym — nie zgodzić się z tymi, których uważa się powszechnie za niepodważalny autorytet, lub z tymi, których jest więcej. Będąc przekonanym o słuszności własnej sprawy, walczyć o nią — to postawa wzbudzająca podziw. W listach do redakcji piszecie o tym. Ktoś nie zgodził się uciec z lekcji z całą klasą i otwarcie to powiedział. Klasa potępiła go. Pytacie jednak, czy nie jest to forma odwagi. „Inni boją się przyznać do tego — pisze Jadwiga G. z Krotoszyna — że też nie chcieliby uciekać, w cichości ducha przeklinają swoją decyzję, ale strach przed potępieniem przez prowodyrów paraliżuje ich. Boją się miana lizusa. Postępują więc wbrew sobie. To chyba niewłaściwe postępowanie, tchórzliwe".

Chyba tak. A to pierwsze?

POKONAĆ STRACH...

...własny strach na własny użytek w drobnych sprawach — to forma odwagi, którą możemy ocenić tylko sami, zdobywając w ten sposób satysfakcję wyłącznie dla siebie. Nikt tego nie dostrzeże, ba, nie rozumie, a jednak...

Pamiętam jak kiedyś ktoś zwierzał mi się, że zdobył się na ogromną odwagę — przejechał się w wesołym miasteczku na diabelskim młynie. Zdziwiony spytałem:

— I cóż to za odwaga? Tysiące ludzi na tym jeździ i nie uważa tego za wielki wyczyn.

— Tak, ale ja się tego młyna strasznie bałem. Kilka razy kupowałem bilet i zawsze oddawałem go siostrze. Wreszcie zdobyłem się na odwagę (!) i wsiadłem.

*Takie drobne akty odwagi wobec samego siebie bardzo poprawiają samopoczucie i — choć niewielkie — przynoszą wiele satysfakcji. Człowiek chce być bowiem coraz lepszy. Znane są psychologii przypadki, gdy **przezwyciężenie własnej jakiejś słabości doprowadziło do większej pewności siebie. Bardziej zdecydowanego, odważnego działania.***

*

Cecha osobowości, jaką jest odwaga, musi być kształtowana przez samego człowieka. Nie jest ona bowiem dana w momencie urodzenia. Prof. Antoni Kępiński, wielki polski psychiatra, powiedział, że „odwaga to pokonywanie lęku: dużego, średniego i małego. Są więc różne rodzaje odwagi. Każda jest jednak bardzo ważna. Każda jest potrzebna. Każda pozwala bowiem uwierzyć w człowieka".

KAZIMIERZ PASEK

3 x S czyli — SPRAWDŹ SAM SIEBIE

PYTANIE 14:

Spróbuj policzyć tych, których uważasz za dobre koleżanki i dobrych kolegów.

a) wymieniłeś(aś) nie więcej niż cztery takie osoby

b) wymieniłeś (aś) od pięciu do ośmiu osób

c) wymieniłeś (aś) dziewięć i więcej osób.

PYTANIE 15:

Przeczytaj uważnie tekst obok:

„W Warszwie wydawana jest Harerska Gazta Nastolatków. Wchodzi ona trzy razy w tygdniu: we wtorki, czwartki i soboty."

A teraz, nie patrząc już na tekst, powiedz ile zauważyłeś (aś) w nim błędów?

a) ani jednego

b) od 1 do 3

c) 4 i więcej.

Pamiętaj, że liczą się tylko odpowiedzi prawdziwe. **Już niedługo (19 sierpnia) znajdziecie rozwiązanie psychotestu.**

„Odruchy"

Taka historia zdarzyła się po raz pierwszy na kolonii. Na porannym apelu kierownik ogłosił, że jednemu z kolonistów zginęło 50 zł. Polecił wszystkim uważnie rozejrzeć się po terenie i dodał, że jeśli poszukiwania nie zostaną uwieńczone powodzeniem sprawą zajmą się wychowawcy. Na placu zapanowała grobowa cisza a dni jakie nadeszły w niczym nie przypominały poprzednich. Nie kleiła się żadna zabawa, atmosfera podejrzliwości porozrywała kolonijne paczki, odwołano zapowiedzianą potańcówkę. Daremne poszukiwania potwierdziły domniemanie, że była to kradzież.

Po paru dniach, na kilka godzin przed upływem ultimatum do poszkodowanego Roberta zgłosił się chłopak z sąsiedniej sali: — Słuchaj, znalazłem twoje pieniądze. Weź je, tylko nie mów nic, że to ja ci je oddałem.

O właściwym zakończeniu sprawy nie dowiedział się nikt. Robert zgłosił się u kierownika i powiedział, że odnalazł pieniądze pod materacem.

Kraść jest nieładnie — nie trzeba tego zbytnio podkreślać. Wszyscy prawie jesteśmy wychowywani w duchu przekonania, że uczciwość jest lepsza od nieuczciwości. Nasuwa się tu jednak kilka innych refleksji. Otóż powiada się, że sytuacja rodzi złodzieja. Ile w tym prawdy? Na pewno sporo. Zostawiony na peronie plecak na pół godziny, podczas gdy jego właściciel chłodzi się oranżadą kilkaset metrów dalej, dziewczęce precjoza pozostawione po rannej toalecie w umywalni czy — jak to zdarzyło się w naszym wypadku — wystający skrawek pięćdziesięciozłotowego banknotu z tylnej kieszeni spodni, działają jak wabik na — nazwijmy go — nieuczciwego znalazcę. I właśnie ze sprawą owych „nieuczciwych znalazców" wiąże się jeszcze jedna uwaga. Maciek sięgnął po nie swoje pieniądze bo... taka była możliwość. Było to nie tylko aktem wyrafinowania c o b e z m y ś l n o ś c i i wynikało z nieopanowania odruchu i chwili. Później zastanowił się i pieniądze zwrócił. Szkoda, że zastanowił się dopiero po fakcie...

Jest nadzieja, że nasz negatywny bohater nie powieli wzorca pewnej pani, która została przyłapana w sklepie na kradzieży, a w śledztwie przyznała, że był to jej 230 występek tego rodzaju w ciągu paru ledwie miesięcy.

Swój odruch Maciek na pewno zapamięta na całe życie a owa pani przez pewien czas osamotnienia utrwalać będzie sobie powiedzenie... do 230 razy sztuka.

WŁODZIMIERZ SŁOWIŃSKI
Rys. H. Chmielewski

KŁOPOTY Z MIKROKLIMATEM

JECHALI całą noc pociągiem. W Warszawie byli nad ranem, a wkrótce potem u celu podróży, w Międzylesiu. Tego samego dnia przeszli kurs bezpieczeństwa i higieny pracy. W jaki sposób poruszać się po budowie, na co zwracać szczególną uwagę, jak i ile dźwigać... Na kursie powiedziano im również, że w Międzylesiu panuje mikroklimat i nigdy tam nie pada. Gdy po południu powracali do położonej w sąsiedniej miejscowości kwatery, złapała ich gwałtowna burza, przemokli do suchej nitki. Ten rozdźwięk teorii i rzeczywistości stanowił pierwszą zapowiedź innych, mniej humorystycznych, niezgodności.

PARODIA?

Zaczęło się tak, że na zbiórce harcerskiej strzelińskich wodniaków padła kiedyś propozycja wyjazdu w czasie wakacji do Warszawy i spędzenia tam dwóch tygodni przy budowie Centrum Zdrowia Dziecka. O wznoszonym szpitalu słyszeli wszyscy z prasy, radia i telewizji. Mówiło się o tym również wtedy, gdy patronat nad budową obejmował ZHP. Dla wszystkich miało to stanowić pierwsze spotkanie z wielką budową, a dla wielu — pierwszą wizytę w Warszawie. W sumie zgłosiło się 19 osób.

Plac budowy jest ogromny. Nad metalowymi szkieletami pochylają się sięgające nieba konstrukcje dźwigów, które powoli, niby ptaki o ogromnych dziobach, chwytają ciężkie segmenty betonu, lekko podnosząc je w górę. Może sprawiła to właśnie niezwykła sceneria, w jakiej się znaleźli, a może też żar cieknący z nieba i wzniecane przez nieustannie krążące ciężarówki, tumany kurzu, że po paru dniach pracy przedstawiciel kierownictwa budowy na pytanie o pracę harcerzy, wzruszył ramionami i szybko zajął się czymś innym, udając, że nie słyszy moich pytań. Spróbowałem inaczej sformułować pytanie.

— Czy na budowie są w ogóle harcerze? — zapytany zmarszczył brwi i odparł: — O tak, są... tak...

Mniej wstrzemięźliwy w słowach był mój kolejny rozmówca, który efekty pracy ochotników skwitował:

— Parodia, a nie praca!

Zaniepokojony taką oceną, a zarazem ciekaw owej „parodii" pospieszyłem w ślad za ekipą harcerzy. Dziewczęta zastałem przy sortowaniu desek. Z wielkiej, nie uporządkowanej sterty wybierały po jednej desce i układały je równo. Druga grupa dziewcząt sortowała metalowe pręty, podobnie jak deski, układając je rodzajami. Chłopcy ładowali na ciągniki metalowe konstrukcje, inni wydobywali piasek z piwnic, a jeszcze inni pomagali w układaniu stropów.

— Często dłuży nam się czas. Zdarza się, że nie ma dla nas pracy. Albo nie mamy co robić, albo też całe godziny czekamy na ciągnik potrzebny do transportu cięższych materiałów — mówi jeden z pracujących.

Inni potakująco kiwają głowami.

— Gdy siedzimy z założonymi rękami, ktoś może pomyśleć, że nie chce nam się pracować, a przecież my po to tu przyjechaliśmy — skarżą się dalej.

Zaczynam domyślać się, skąd wzięła się ta nieszczęsna „parodia" w ustach przełożonego i niezadowolenie harcerzy. Ochotnicy oczekiwali na wyznaczenie im konkretnej pracy, której efekty byłyby widoczne, kierownictwo zaś — inicjatywy i doświadczenia właściwego stałym pracownikom. A zatem błąd obustronny. Trudno przecież, aby nowicjuszowi będącemu pierwszy raz na budowie dać w ręce kielnię lub stery dźwigu, ale również nie można wymagać od niego, aby sam umiał znaleźć sobie pracę i dobrze ją zorganizować.

NIESZCZĘSNE SZAFKI

Gdy zjawiłem się po paru dniach ponownie w Międzylesiu, dowiedziałem się najpierw, że między kierownictwem a harcerzami odbyły się trzy gorące rozmowy.

— Dlaczego nie rozładowaliście samochodu z szafkami?

— Jak to nie rozładowaliśmy?! Samochód stanął 60 m od budynku, a mimo to przenosiliśmy szafki. A mógł przecież bliżej podjechać...

Historia szafek stanowiła argument jednej i drugiej strony. Szafki potrzebne były do przechowywania ubrań w czasie pracy. Kiedyś nadjechał samochód załadowany nimi i kierownictwo dało polecenie rozładunku. Była godzina 13.15. Na samym początku harcerze umówili się, że będą pracowali do 13.00. Szafki rozładowali, ale mieli pretensje, ponieważ samochód zatrzymał się za daleko. Kierownictwo zaś zarzucało im, że piętnaście minut po zakończeniu pracy nie chcieli wykonać polecenia. Groziło to dodatkowym przestojem wozu.

Sprawa musiała wyglądać poważnie, skoro próbowano trzykrotnie znaleźć rozwiązanie. W rezultacie jednak te trzy spotkania nie poszły na marne. Znaleziono wyjście. Grupę ochotników rozdzielono, przydzielając po kilka osób do różnych brygad. Wykonują teraz te same prace co bardziej doświadczeni pracownicy. Pracują z murarzami, betoniarzami, przy układaniu płyt z gazobetonu. Stanowią razem z nimi jedną ekipę, a jednocześnie pracują pod ich kierownictwem.

Od tej pory czas przyspieszył swój bieg. Już im się nie dłuży i z żalem liczą dni do końca turnusu. Nawet aura respektuje prawo mikroklimatu: od pamiętnej burzy nie spadła ani jedna kropla deszczu.

Konflikt był bowiem pozorny. Wynikał z braku dostatecznego porozumienia między kierownictwem i pracującymi harcerzami, i może trochę z trudności zgrania wymogów surowej fachowości z niespokojnym duchem zapaleńców. Po hufcu ze Strzelina przyjadą kolejni ochotnicy z innych regionów Polski. Okres ich docierania się będzie zapewne krótszy. I na budowie nie zabraknie łagodniejszego mikroklimatu.

WŁODZIMIERZ SŁOWIŃSKI

AKCJA H_2O

PODNOWINKA (HSI). Patrol „Pomorzanek" przeżywał ostatnio gorące dni. Niektórzy pracowali w polu, inni donosili żniwiarzom własnoręcznie przygotowane napoje chłodzące. Jeszcze inni — zbierali pozostawione bez opieki dzieci i bawili się z nimi na niewielkiej polance. Ta działalność, opatrzona kryptonimem „Akcja H_2O", przysporzyła „Pomorzankom" niemałej popularności we wsi!

Małgorzata Tes

NIEZAWODNE „STOKROTKI"

ROG (HSI). Patrol „Stokrotek" podczas niedawnych sianokosów pomagał nie tylko własnym rodzinom, ale też mieszkającej w tej samej wsi starszej pani, której jedynym bliskim człowiekiem był przebywający akurat w szpitalu mąż. Dwanaście silnych dziewcząt to pomoc niebagatelna, toteż siano, które od dawna już schło na łące, w ciągu jednego dnia zostało zebrane.

Halina Wilczek

1945 1975 a.p.i. ASSOCIAZIONE PIONIERI d'ITALIA

JEST NAS MAŁO ALE BĘDZIE WIĘCEJ...

Germano Bizzarri jest działaczem Włoskiej Partii Komunistycznej i jednocześnie instruktorem Organizacji Pionierów Włoskich. Korzystając z jego obecności w Polsce, poprosiliśmy go o wypowiedź dla czytelników „Świata Młodych".

Początki powstania Organizacji Pionierów Włoskich sięgają 1945 roku, tuż po wyzwoleniu Włoch spod faszystowskiej władzy. Organizacja powstała z inicjatywy byłych bojowników o wolność, młodych 18—19-letnich partyzantów, którzy zdawali sobie sprawę z konieczności nie tylko zaopiekowania się dziećmi i młodzieżą w bardzo trudnym okresie powojennym, ale również z potrzeby wychowywania ich w duchu postępowym — komunistycznym. Organizacja rozwijała się bardzo szybko. W krótkim czasie zdołano nawet zorganizować wydawanie własnej gazety. Wskutek narastających ataków prawicy, która objęła rządy w kraju, działalność naszej organizacji była coraz bardziej ograniczana. Atakowano nas za metody wychowawcze, polegające na działaniu w grupach młodzieży, a przede wszystkim za ideologię.

W 1961 roku naszym przeciwnikom udało się osiągnąć cel — dalsza działalność organizacji została przez władze państwowe zakazana. Trzeba tu dodać, że był to okres ogromnego nasilenia walki klasowej we Włoszech, walki robotników o swoje prawa, przeciwko czemu ostro występowały rządzące partie prawicowe.

W 1971 roku Organizacja Pionierów Włoskich została reaktywowana. Zaczynaliśmy dosłownie od zera. Pierwszym naszym zadaniem było zdobycie jak największej liczby ludzi postępowo myślących i pragnących pracować z młodzieżą. Ten etap rozbudowywania naszej organizacji praktycznie trwa do tej pory. W swej działalności ciągle jeszcze zabiegamy o pozyskanie instruktorów i działaczy, o ich odpowiednie przeszkolenie oraz o poszerzenie terytorialne naszego działania. **Celem naszym jest stworzenie masowej organizacji młodzieży włoskiej.** Chcemy, aby była to organizacja całkowicie samodzielna. Pragniemy realizować w swej działalności wychowawczej wszystko to, co wynika z programów lewicowych partii działających we Włoszech — nie tylko Włoskiej Partii Komunistycznej. Związki naszej organizacji z WłPK polegają przede wszystkim na tym, że większość instruktorów to komuniści i — członkowie partii.

Ogromną trudność w pracy sprawia nam — nazywając rzecz po imieniu — po prostu brak pieniędzy. My, działacze i instruktorzy, pracujemy całkowicie społecznie — nikt z nas nie otrzymuje wynagrodzenia. W tej sytuacji możemy oddawać organizacji tylko swój wolny czas — po pracy zawodowej, a to bardzo utrudnia działanie. Koszty wszystkich wyjazdów, spotkań, kontaktów, a nawet korespondencji organizacyjnej, pokrywamy z własnych kieszeni.

Mamy i inne kłopoty. I tak np. nasza organizacja nie ma prawa działania na terenie szkół. Możemy pracować z dziećmi i młodzieżą tylko w czasie pozaszkolnym. A jest to sprawa niezwykle istotna, ponieważ postawiliśmy sobie za cel udział naszej organizacji w toczącej się obecnie w naszym kraju walce o zmianę przestarzałego programu nauczania i systemu oświaty, dyskryminującego młodzież ze środowisk biednych.

Jak działamy? Organizujemy latem obozy wypoczynkowe, zaś przez cały rok pracujemy z młodzieżą poprzez kółka zainteresowań, a także inspirujemy akcje polityczne, w których bierze udział młodzież nie tylko z naszej organizacji, ale także innych — postępowych. Na przykład w zorganizowanej przez nas akcji solidarnościowej zebraliśmy 50 milionów lirów na budowę szkół w Wietnamie.

Wieloletnia przerwa w działalności naszej organizacji spowodowała, że musimy właściwie od początku poszukiwać form działania. Dzięki współpracy i kontaktom z organizacjami pionierskimi państw socjalistycznych zdobyliśmy sporą wiedzę, ale też trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że w naszych warunkach wielu rzeczy nie da się zrealizować. Dla przykładu: nie mamy w ogóle własnych lokali, w których moglibyśmy się zbierać, jesteśmy zmuszani do wynajmowania pomieszczeń za pieniądze zebrane z dobrowolnych składek. Korzystamy również z lokali związków zawodowych i innych postępowych organizacji. Nie posiadamy dotychczas własnej gazety, poszczególne komitety wydają czasem z okazji większych akcji powielane pisma, bardzo zresztą ubogie pod względem szaty graficznej. Są to właściwie biuletyny. **Walka klasowa trwająca we Włoszech nie angażuje tylko dorosłych obywateli, jej front przebiega również przez młodsze pokolenie.** Prawicowe organizacje młodzieżowe, dużo bogatsze od nas, używają wszystkich środków do zwalczania naszej organizacji.

Związek Pionierów Włoskich jest organizacją zrzeszającą dzieci i młodzież od lat 6 do 14. Później wielu byłych pionierów wstępuje do Związku Młodzieży Komunistycznej lub innych lewicowych organizacji młodzieżowych. Organizacja, niestety nie działa jeszcze na terenie całych Włoch. Działamy tam, gdzie w terenowych władzach mają większość partie postępowe. Struktura naszej organizacji jest następująca: władzą naczelną jest **Komitet Narodowy** z siedzibą w **Reggio Emilia** — tam, gdzie najsilniejsze są tradycje walki z faszyzmem, gdzie po raz pierwszy w 1945 roku powstała nasza organizacja, i gdzie najsilniejsze są partie lewicowe z komunistami na czele. **Komitetowi Narodowemu** podlegają **Komitety Regionalne** kierujące działalnością terenowych grup pionierskich. Oczywiście, działamy również w stolicy naszego kraju — Rzymie.

Jest nas mało, ale będzie więcej, dużo więcej... Jesteśmy o tym głęboko przekonani.

Notował:
JERZY KOWALKOWSKI

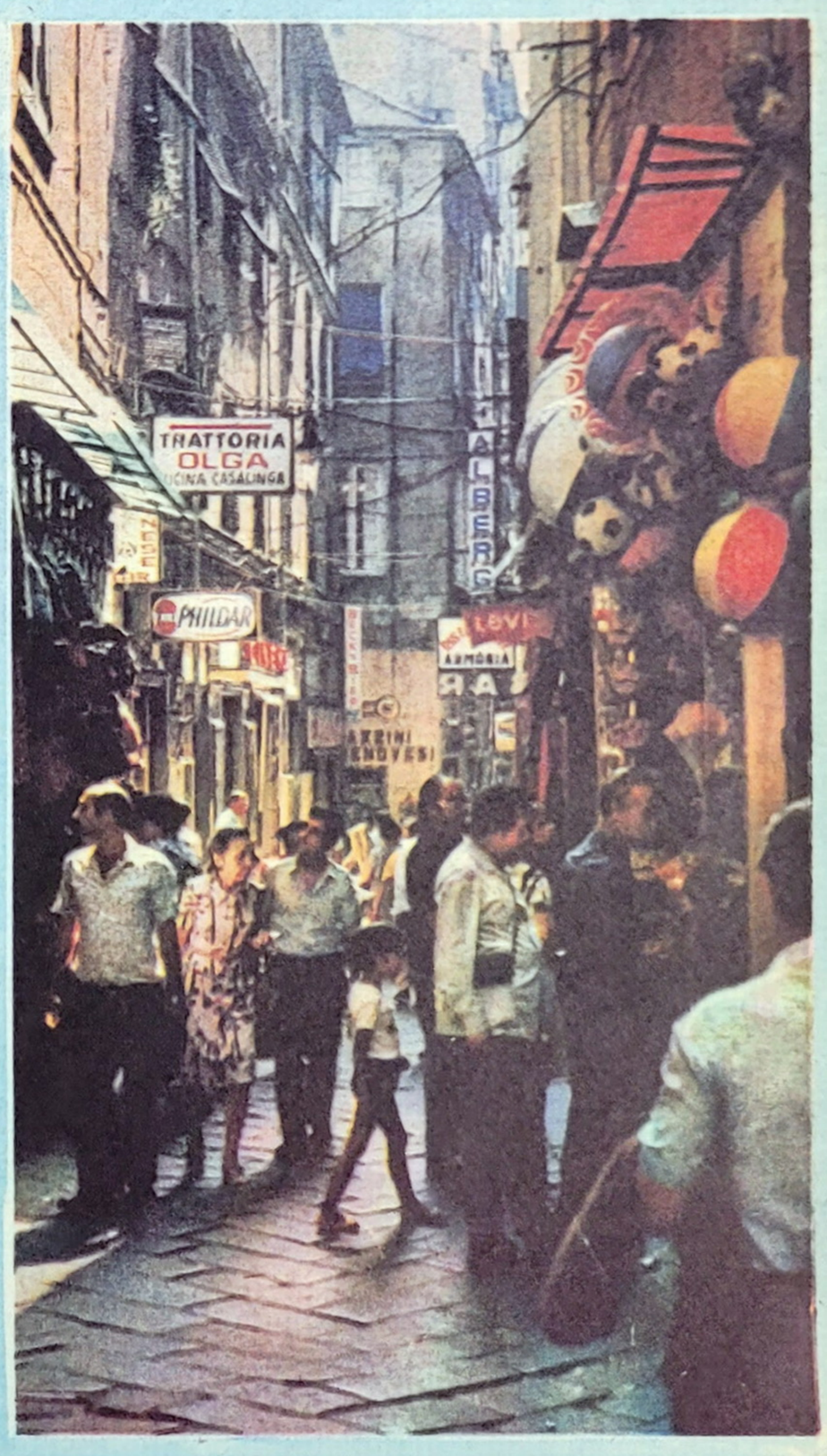

DZIEŃ SPORTU

Zdjęcia:
KAJETAN ADAMOWSKI

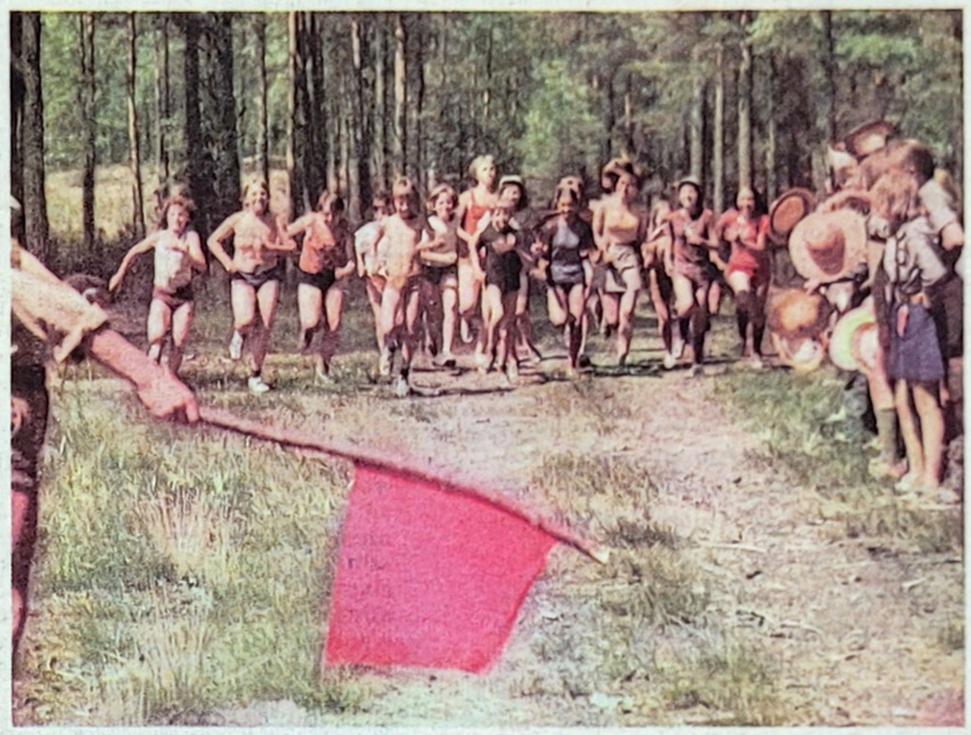

Pobudka obwieściła początek kolejnego obozowego dnia. Kolejnego, lecz niezwykłego, bo pełnego ruchu, radości, zabawy, uśmiechu i słońca.

Dzień sportu na obozie 416 Warszawskiej Drużyny Harcerzy i Zuchów w Jurdzie nie był podobny do tradycyjnych sportowych zawodów. Nie chodziło o wyłonienie najlepszych w rzutach, skokach, biegach i grach, lecz o masowy udział obozowej braci.

Dla tych, którzy uprawiają sport, był to kolejny sprawdzian własnych umiejętności. Natomiast tym, którzy sportowy kostium przywdziewają rzadko, ten dzień pozostanie na długo w pamięci. Dzięki niemu poznali smak sportowej przygody.

Więcej takich dni na harcerskich obozach, podczas których dominuje zbiorowy, spontaniczny ruch, podnoszący sportową sprawność i dający zdrowie! (ds)

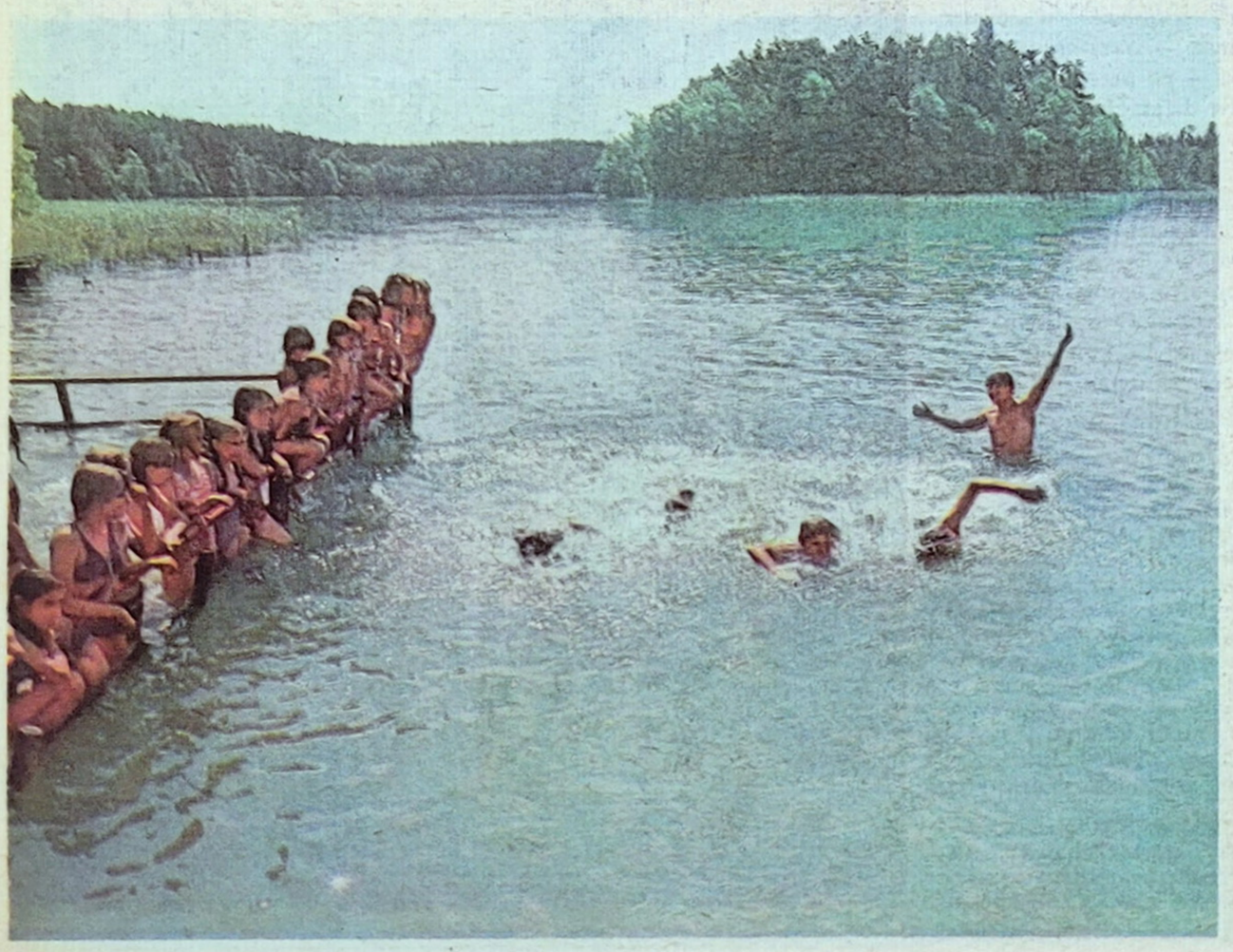

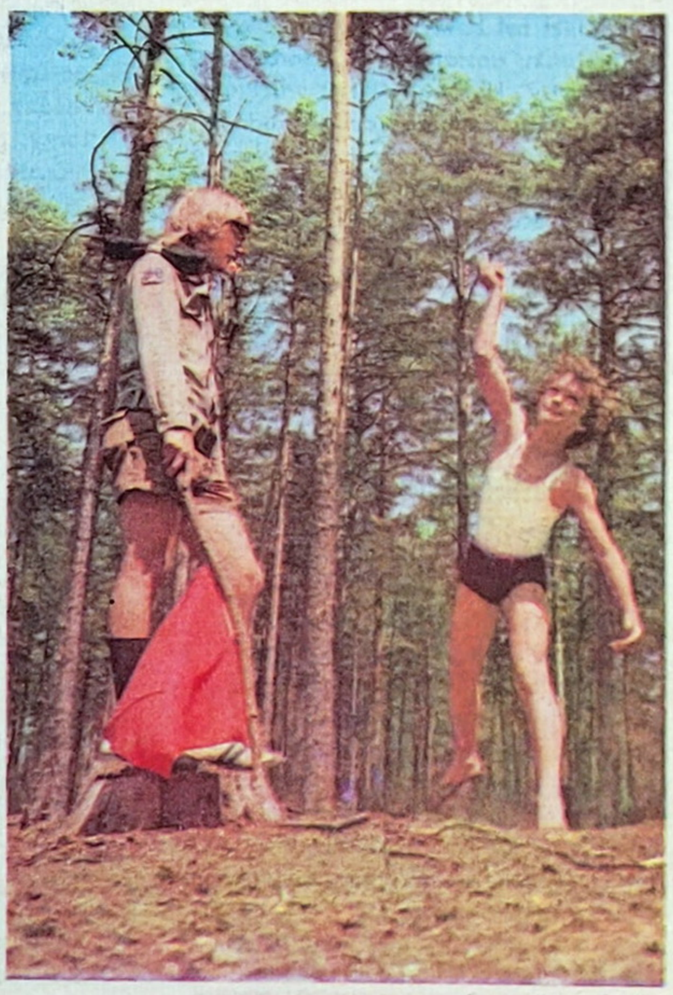

REDAKCYJNA POCZTA

DZIWNE ZACHOWANIE

Przeczytałam list „Czajki" i muszę przyznać, że oburzyło mnie opisane przez nią zachowanie kolonistek. Tegoroczne wakacje spędzam w Rabce. Mam tutaj koleżankę, która jest raczej skromnie ubrana, ja jednak nie staram się jej imponować, a nawet krępuję się, że mam modniejsze sukienki. Myślę, że będąc na miejscu „Czajki" powiedziałabym koleżankom, co sądzę o ich postępowaniu. Zachowywały się przecież jak maluchy!

Małgośka z Piekar Śl.

DAJCIE SPOKÓJ WARSZAWIAKOM!

Po przeczytaniu listu „Czajki" z Krakowa („ŚM" nr 83) postanowiłam i ja zabrać głos w sprawie kultury warszawiaków. Dziwię się bardzo, że tak dużo osób ma pretensje właśnie do nas! Mogę podać wiele przykładów, świadczących o tym, że młodzież z innych miast odznacza się większym brakiem kultury. Dlaczego więc ciągle my jesteśmy na cenzurowanym? Czajka pisze, że „dziewczyny ubierały się jak modelki, a do rozmów wtrącały angielskie i francuskie słówka". Myślę, że to są śmieszne zarzuty. Każdy przecież chce się ładnie ubierać, a obcojęzyczne zwroty świadczą nie tylko o snobizmie, ale i o zainteresowaniu językami.

Gośka z Warszawy

Iwona Pietrusiak, 15 lat, ul. Olsztyńska 20 m 28, 91-327 Łódź, interesuje się fizyką, germanistyką. Pragnie nawiązać kontakt z rówieśnikami.

SIOSTRZANA MIŁOŚĆ

Zdziwił mnie bardzo list zamieszczony w 83 numerze „Świata Młodych", rzekomo mojego autorstwa. Okazało się, że napisała go ... moja siostra, kierująca się miłością do brata, który miał nogę w gipsie. Popełniła jednak pewną nieścisłość, ponieważ mimo częściowego unieruchomienia wcale się nie nudziłem! Mogłem przecież chodzić i jako człowiek nie pozbawiony humoru umiałem sobie znaleźć rozrywkę. Bardzo się więc zdziwiłem, gdy pod koniec lipca dostałem kilka listów. Zgodnie z obietnicą, jaką dała w moim imieniu siostra, zabrałem się do odpisywania. Jednak — gdy tylko jednego dnia dostałem aż 95 listów — załamałem się. Nie jestem w stanie odpisywać na wszystkie listy, ale każdy z nich czytam. Chciałbym podziękować wszystkim dziewczętom — bo właśnie od nich napływa korespondencja — za pozdrowienia, słowa otuchy i współczucia. Jednocześnie przepraszam za uczynek siostry, która bez porozumienia się ze mną chciała zrobić mi przyjemność i niespodziankę.

Ryszard Rokuszewski

OD REDAKCJI: Przykro nam, że czasami jesteśmy pośrednikami w przekazywaniu adresów czytelników, którzy na listy nie oczekują. Zdarzają się bowiem i mniej zabawne historie niż ta, o której pisze Ryszard. Odbiorcy listów mają wówczas do nas żal, że zakłócamy im spokój. A przecież na „miejsce w ramce" czeka bardzo wielu czytelników chcących naprawdę nawiązać korespondencję z rówieśnikami.

Osa rozpoczyna budowę gniazda w mojej bibliotece.

FOTOGRAFICZNE ŁOWY

Fotografowanie roślin i zwierząt może stać się zajęciem pasjonującym, ale tylko dla tych, którzy rozumieją i kochają przyrodę. I nie trzeba w tym celu nigdzie daleko wyjeżdżać. Znakomite zdjęcie np. owadów można wykonać na balkonie obserwując skrzydlatych gości odwiedzających kwiaty w skrzynkach. Każda wycieczka do parku czy na działkę jest okazją do wykonania interesujących fotografii kwiatów, które — bez przesady — mają szanse stać się ozdobą każdej wystawy fotograficznej. Namawiamy Was szczególnie do fotografowania na filmach odwracalnych, z których potem powstaną przeźrocza pozwalające uzyskać duży kolorowy obraz, po powiększeniu go przy pomocy rzutnika.

Zdjęcia: **J. DĄBROWSKI**

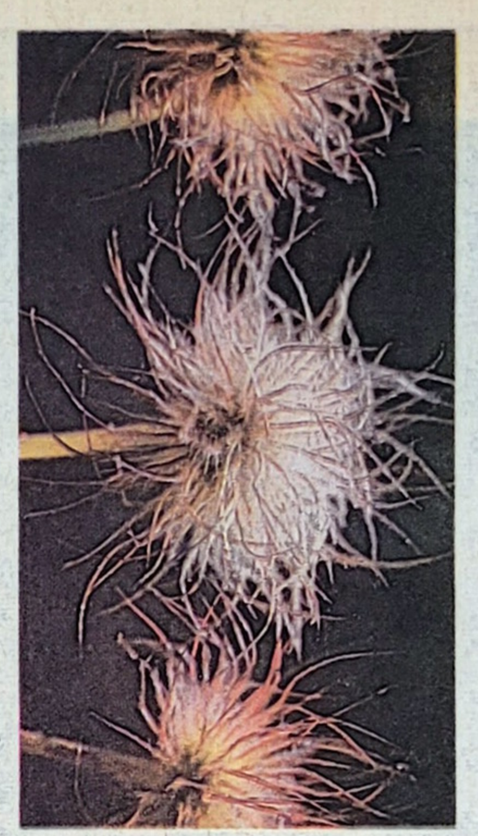

Opadająca mgła zamienia pędy i liście BABKI WODNEJ w delikatną, srebrną koronkę.

Wystarczy lekki powiew wiatru i dojrzałe, latające nasiona SANKI pofruną w czterv strony świata.

GĄBKĘ SŁODKOWODNĄ coraz rzadziej można spotkać w naszych rzekach. Ta kolonia gąbek żyje w jednym z bardzo czystych dopływów Bugu w okolicach Wyszkowa.

Z MAGDĄ 5 minut

To taki fason, że niby drinki człowiek jestem, wolny jak wiatr, robię co chcę i nie robię, czego nie chcę. Czyli ...nie myję się, nie piorę skarpetek i w ogóle zapominam jak wygląda to ohydna zdobycz cywilizacji pod tytułem mydło.

Ciekawe, dlaczego właśnie taki styl wszystkim imponuje? No bo imponuje. Biedna Hanka, która nie może się pochwalić, jaka to ona nie wrócila do domu brudna, zupełnie się nie liczy. Choćby na księżycu wakacje spędzała!

To taki sport się zrobił. Kto będzie brudniejszy. U nas na obozie od czasu do czasu pani higienistka sprawdzała po ciszy nocnej, czy mamy czyste nogi. Tak jakoś wypadało, że zawsze z góry o tym sprawdzaniu wiedzieliśmy. I... No właśnie, najprostsze rozwiązanie — aby uniknąć wpadki, trzeba umyć nogi. Ale nic z tych rzeczy! Wszyscy wysilali się na pomysły, co zrobić, aby pani higienistka oczy zamknęła, aby się na brudzie nie poznała.

Czy to źle?! Bo ja wiem... Faktycznie, z tym oczywiście, to niezupełnie w porządku, ale tak w ogóle... Chyba po prostu śmieszne. Bo co ma wspólnego brud z udanymi wakacjami?!

MAGDA

Utworzyła się taka przerwa wakacyjna. Dziewczyny wracają na parę dni do domu, żeby za chwilę dalej pojechać. Na razie jesteśmy. Jest Hanka, jest Jagoda, jest Bożena, jestem ja. Cieszymy się sobą, opowiadamy gdzie która była.

Zaczęła Bożena, która wróciła z rajdu rowerowego. Było podobno niezłe tajnie, a jak tylko wróciła, to od razu weszła do wanny i... zmieniała sześć razy wodę. Taka była brudna!

Jagoda nie chciąc pozostać w tyle uraczyła nas z kolei opowieścią, że to razy mycia po powrocie od babci ze wsi włosy i furt nie mogła ich domyć.

Potem ja opowiadałam, że jak zanurzyłam do wody swoje dżinsy, które miałam na obozie, to jeszcze zanim dotarłam prosto, woda była już czarna.

Tylko Hanka nie miała się czym pochwalić. Wróciła z rodzinnych wczasów czyściutka i domyta jak prosiaczek. Coś tam mówiła, że fajnie było, że poznała jakiegoś miłego chłopaka, ale żadna z nas nie słuchała. Wydało nam się, że jak ktoś wraca do domu czysty, to znaczy, że wakacje miał mało ciekawe.

Dopiero teraz zwróciłam uwagę na absurd tego rozumowania. Też sobie wymyśliłyśmy! Mierzyć emocje ilością brudu za paznokciami! A jednak tak się mierzy.

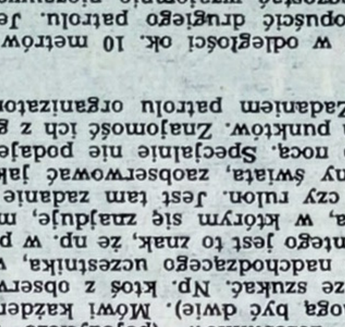

„MY – NIE TAK, MY POD WIATR – TAKI FASON"!

WYPRAWA IX

CIEMNO WSZĘDZIE, GŁUCHO WSZĘDZIE

Taka wyprawa jak dzisiejsza nie odbywa się co dzień. Ba, w ogóle nie odbywa się w dzień, tylko... w nocy. Oczywiście można się umówić na wieczór. Ale wtedy, gdy jest już ciemno. Ciemność, to warunek tej wyprawy – najważniejszy.

Ciemność nie jest wbrew pozorom, wyłącznie stanem spoczynku. Człowiek wtedy na ogół śpi, to prawda. Ale jest wiele zwierząt, które dopiero w ciemności czują przypływ energii, jest wiele roślin, chociażby kwiatów, które dopiero wieczorem rozchylają swoje kielichy. Kto wie, jakie? Jest to zadanie dodatkowe, niepunktowane.

Ale i człowiek „z fasonem" ciemności się nie boi, potrafi sobie radzić i w takich warunkach.

Zadanie 2

NOCNA GRA

Jest to gra terenowa rozgrywana po zapadnięciu zmierzchu. Jeśli macie sąsiada — zaprzyjaźniony patrol w najbliższej okolicy — powinniście realizować to zadanie wspólnie. Jeden z patroli (wybór przez losowanie) będzie jej organizatorem, a drugi uczestnikiem. Będzie to tzw. gra wielka. Jeśli jesteście sami, trudno — grę przygotuje dowódca dla reszty patroli, będzie to tzw. gra mała.

Obie wersje gry (i wielka, i mała) polegają na przejściu przez uczestników nie znanej im uprzednio trasy (ok. 2 kilometrów, trochę polem, trochę lasem, po drodze różne zadania do wykonania), która prowadzi do miejsca, gdzie rozegra się gry punkt kulminacyjny — zdobywanie skarbu. Skarb jest oczywiście sprawą umowną — może to być równie dobrze proporczyk, jak i jakiś kupiony wspólnie smakołyk, np. tabliczka czekolady.

GRA WIELKA

Patrol organizatorów jest w momencie rozpoczęcia gry podzielony na dwie grupy, jedna strzeże skarbu, członkowie drugiej obserwują trasę, a ktoś jeden w punkcie startu wypuszcza kolejne osoby z patrolu uczestników (pojedynczo lub dwójkami) na trasę (trasy mogą być dwie). Mówi każdemu, jakich znaków mają po drodze szukać. Np. ktoś z obserwujących organizatorów, widząc nadchodzącego uczestnika, wydaje umówiony krzyk. Dla tamtego jest to znak, że np. w promieniu 10 metrów od miejsca, w którym się znajduje, musi odnaleźć dużą jasną kopertę czy rulon. Jest tam zadanie do wykonania, np. określić strony świata, zaobserwować jakieś zwierzę lub ptaka żerującego nocą. Specjalnie nie podajemy ani zadań, ani poszczególnych punktów. Znajomość ich z góry uczyniłaby grę nieciekawą. Zadaniem patrolu organizatorów jest je wymyślić.

Strzeżony skarbu są ukryci w odległości ok. 10 metrów od niego. Nie chcą do niego dopuścić drugiego patrolu. Jedni i drudzy muszą starać się pozostać wzajemnie niezauważeni. Przeciwnika można unieszkodliwić jedynie wykrzykując głośno jego imię, wtedy odchodzi z gry.

Jeśli dowódca przygotował dwie trasy, dzieli patrol na dwie grupy i każdej wręcza zaklejoną kopertę z poleceniem otwarcia jej o określonej godzinie, w określonym miejscu, np. w bazie. (Jeśli trasa jest jedna, koperta też jest jedna i cały patrol idzie razem). W kopercie jest szkic trasy, która trzeba przejść i zadanie, które trzeba po drodze wykonać. Sam dowódca czeka na patrol w miejscu ukrycia skarbu. Patrol wie, że skarb jest ukryty w promieniu np. 40 metrów od niego. Skarb jest zamaskowany, ale miejsce jego ukrycia jakoś oznakowane np. zapalona odwrócona reflektorem latarka elektryczna. Odkrywca skarbu jest równocześnie zwycięzcą gry.

Za wykonanie tego zadania (niezależnie od wersji) możecie sobie przyznać 40 punktów.

GRA MAŁA

Zadanie 4

ZAWODY WAKACYJNYCH TALENTÓW

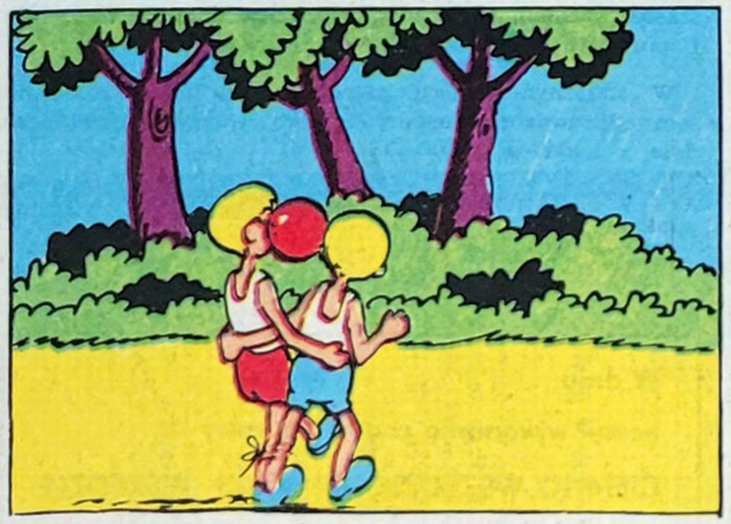

WYŚCIG Z PIŁKĄ

Dwa zespoły o jednakowej i parzystej liczbie zawodników ustawiają się na linii startu parami. Każdej parze związujemy nogi. Lewą nogę jednego zawodnika z prawą drugiego. W dwóch miejscach, w kostkach i w kolanach. Pierwsze pary obydwu zespołów obejmują się w pasie i kładą między głowy piłkę (lub jakikolwiek inny przedmiot), mocno przyciskając ją, aby nie wypadła. Na sygnał pary biegną w kierunku oddalonych o 25 kroków chorągiewek. Okrążają je i w ten sposób wracają na linię startu, a po jej przekroczeniu oddają piłkę następnym parom swoich drużyn. W przypadku jej zagubienia należy po nią wrócić do miejsca, gdzie upadła i stamtąd kontynuować dalej bieg.

Wygrywa ten zespół, którego pary najszybciej ukończą wyścig. Za to zadanie możecie sobie przyznać 20 punktów.

GWIAZDOZBIÓR

STEFAN FRIEDMAN
— WARSZAWIAK URODZONY W KRAKOWIE

„Jest nas pięciu siedemnasto- i osiemnastolatków, zorganizowanych w zastępie harcerskim. Powstały spór o nazwę naszego zastępu został rozstrzygnięty na Waszą — „Fachowców" korzyść. W związku z tym prosimy Was o pozwolenie używania jej i Waszej piosenki sygnałowej jako hymnu".

— Bardzo ucieszył nas ten list do radia — **mówi Stefan Friedman** — bo teraz wiemy, że spełniło się nasze założenie, wedle którego Ilustrowany Tygodnik Rozrywkowy miał być audycją satyryczną, która dostarczyłaby wszystkim, bez względu na wiek, dobrej rozrywki.

— Obecnie to już Ilustrowany Magazyn Autorów?

— Tak. Pracujemy nadal w tym samym składzie: Adam Kreczmar, Jacek Janczarski, Jonasz Kofta i Jan Tadeusz Stanisławski — słynny profesor mniemanologii stosowanej. Dyryguje nami niezastąpiony reżyser Jerzy Markuszewski. Do zespołu ITR odznaczonego „Złotym Mikrofonem" przez krytyków radiowych doszła jeszcze Maria Czubaszek i teraz każdy z nas, co sześć tygodni, ma własną audycję.

— W IMA pojawiły się też nowe cykle i postacie.

— To właśnie „Fachowcy", a także „pan Sulek". „Globtroter" i inni...

— Jesteś nie tylko ich odtwórcą, ale i autorem tekstów. Co Cię inspiruje?

— Samo życie! (To także tytuł audycji satyrycznej z udziałem St. Friedmana). Wystarczy być spostrzegawczym — tyle jest wokół nas wspaniałych i zabawnych sytuacji!

— Musisz też być obdarzony dużą fantazją. Świadczą o tym Twoje przygody jako „Globtrotera".

— Cała zabawa polega tu na komicznym zestawianiu słów.

— Może coś opowiesz?

— O polowaniu. Polowanie jest odwrotną stroną medalu fauny. Ma swoje gorsze i lepsze strony. Gorsza jest wtedy, gdy się nie wraca z polowania, bo nas ktoś zastrzelił przez pomyłkę, np. kolega. Lepsza, gdy wracamy lekko ranni bagnetem, kiełbiem byka, czy drutem kolczastym, którego pełno w naszych dziewiczych lasach. Polował mój pradziadek, polował dziadek, moja babcia polewała... z balkonu i ja polewam — jak mówią. Idę więc sobie kiedyś takim lasem, puszczą — a tu coś zaszumiało i wypada taka ogromna ta... świnia, ta... dziczyzna o, z tymi małymi wachlarkami. Wali wprost na mnie. Więc ja, prawda, przymierzyłem, wymierzyłem, skoczyłem i złapałem się gałęzi. Tak, że dobrze wymierzyłem, prawda? Przeleciała rodzinka pode mną... Dlaczego ja tak zrobiłem? Muszę powiedzieć, że dlatego, że był to okres ochronny na te zwierzęta — jak się później dowiedziałem. I tyle!

— Znamy Cię także z poważniejszego repertuaru i to nie tylko z radia.

— Radio było miejscem mego debiutu. W 1952 roku zacząłem współpracę z radiowym teatrem dziecięcym. Odtwarzałem rolę Nemeczka w „Chłopcach z Placu Broni" i Stasia „W pustyni i w puszczy".

— A potem poznaliśmy Cię już jako Gienka Matysiaka.

— Tak. Gram go od 1956 roku. Mój udział w „Matysiakach" jest niewątpliwie dużą przygodą, choć nie chciałbym, aby radiosłuchacze identyfikowali mnie tylko z postacią Gienka. Uważam, że najgorsze dla aktora jest zaszufladkowanie, przypisanie do jednej roli, którą odtwarza z dobrą wiarą, ale przecież na niej nie poprzestaje!

W radiu byłem, zresztą nie tylko aktorem i autorem, ale nawet inspicjentem i asystentem reżysera.

— Widujemy Cię i w telewizji. Choćby w „Dobranocce dla dorosłych".

— Staram się być wszędzie tam, gdzie dzieje się coś fajnego, gdzie powstają nowe style i nowe możliwości w nurcie rozrywkowym. Działałem w Studenckim Kabarecie „Hybrydy" i ten kontakt z prawdziwą, choć studencką sceną i publicznością, przydał mi się później na deskach Teatru Współczesnego, w którym pracuję już ósmy sezon.

— Grywasz i w filmach.

— Debiutowałem w „Godzinach nadziei", potem była „Syrena warszawska" i „Miejsce na ziemi" — gdzie odtwarzałem postać chłopca szukającego swego miejsca w życiu. Bardzo ten film polubiłem i z tych, w których występowałem, jest mi najbliższy — a grałem mniejsze i większe role, już w 48 filmach!

— A nad czym obecnie pracujesz?

— Kończę zdjęcia do „Kazimierza Wielkiego" — dwuseryjnego eposu w reżyserii Ewy i Czesława Petelskich.

Króla gra Krzysztof Chamiec, a ja odtwarzam postać jego ulubionego dworzanina — takiego powiernika, który towarzyszy mu aż do śmierci.

— A czy myślałeś kiedyś o innym zawodzie?

— Pasjonuję się sportem; może, gdybym miał lepsze warunki fizyczne, zostałbym sportowcem. Dla filmu musiałem nauczyć się konnej jazdy i teraz jeżdżę sobie dla własnej przyjemności. Gram też w tenisa, a w piłce nożnej reprezentują drużynę aktorów w meczach z dziennikarzami. Gram w napaści...

— Dla wielu jesteś uosobieniem warszawskiego humoru i fasonu.

— I tu muszę wszystkich rozczarować, bo urodziłem się w Krakowie. Ale sam już w to nie wierzę! Został mi tylko sentyment do drużyny „Cracovii", który przeszedł na sympatię do „Wisły Kraków", no i tęsknota za górami. A tak, to chyba już jestem z krwi i kości warszawiakiem i nie wyobrażam sobie, że mógłbym gdzie indziej mieszkać.

MARTA SZTOKFISZ
Zdjęcie: M. Troszczyński

mogą być po kilka razy, ale każdy musi „wąchać" tę samą ilość razy. Zwycięża ten, kto najwięcej razy trafnie odpowiedział, co ma przed sobą.

DOTYK

Przed grą trzeba przygotować kilka patyków (ostrugany), które różnią się między sobą długością i średnicą. Trzeba je przed rozpoczęciem zabawy dokładnie zmierzyć i zapisać na nich wymiary długopisem. Wszyscy powinni je poznać i zapamiętać. Prowadzący daje osobie z zawiązanymi oczami do rąk kolejno (np. 6 razy) któryś z kijów. Na chwilę, np. na 5 sekund. Musi ona poprzez dotyk określić jego wymiary. Znowu zwycięża ten, kto miał najwięcej dobrych „trafień".

Za wykonanie tego zadania możecie sobie przyznać 15 punktów.

Zadanie 1

TRENINGOWE

Aby w ciemnościach nie „stracić głowy", trzeba mieć bardziej niż normalnie wyostrzony słuch, węch i dotyk. Na nic bowiem „sokole oko", gdy... i tak prawie nic dojrzeć nie można. Wszystkie te trzy zmysły warto sobie przez nocną wyprawę nieco „wyostrzyć". Służy temu specjalne zadanie treningowe, które składa się z trzech gier — zabaw. Organizujemy je w czasie dnia, ale aby warunki były podobne do nocnych, zawodnicy (nie wszyscy, jak to wynika z regulaminów) mają zawiązane szczelnie oczy.

SŁUCH

Dookoła jednej osoby z zawiązanymi oczami chodzą pozostali; starają się przemieszczać z miejsca na miejsce, jak najbardziej bezszelestnie, aby ten, kto słucha, nie mógł się zorientować, gdzie kto się akurat znajduje. Prowadzący grę wskazuje co jakiś czas (dość często, inaczej zabawa będzie nudna) osobę, która ma się odezwać. Mówi ona jedno tylko słowo i może starać się swój głos zmienić (np. mówić przez chusteczkę, włożyć do ust cukierek itp.). Ten z zawiązanymi oczami musi odgadnąć, kto się za każdym razem odezwał. Każdy kolejno zgaduje tę samą liczbę, np. 20 odezwań. Zwycięża ten, który najwięcej razy odgadł, kto mówił.

WĘCH

Zasada jest ta sama — kolejno jeden „odgadywacz" z zawiązanymi oczami. Przed tą grą trzeba przygotować kilkanaście przedmiotów, które charakteryzują się swoistymi zapachami (niekoniecznie bardzo ostrymi), np. chleb jasny, chleb razowy, atrament, gazeta codzienna, tygodnik ilustrowany, pudełko zapałek itp. Wszyscy uczestnicy znają te przedmioty, mogą je przed grą wąchać do woli. Prowadzący grę daje „odgadywaczowi" do wąchania różne z tych przedmiotów — niekoniecznie wszystkie, niektóre

W każdej okolicy są takie miejsca, gdzie podobno straszy. Raz jest to opuszczony dom, innym razem mur cmentarza, jeszcze innym — stara wierzba...

Zadanie polega na tym, aby odwiedzić to miejsce w nocy (idealnie byłoby w „godzinie duchów", o samej północy — trzeba przedtem koniecznie uzyskać na to zgodę rodziców) i sprawdzić, że... to nieprawda, że to wszystko bajki.

W „strasznym miejscu" patrol zostawia tabliczkę z napisem: „Sprawdzono, duchów nie ma!". I nazwa patrolu oraz data, z dokładną godziną.

Za wykonanie tego zadania możecie sobie przyznać 25 punktów.

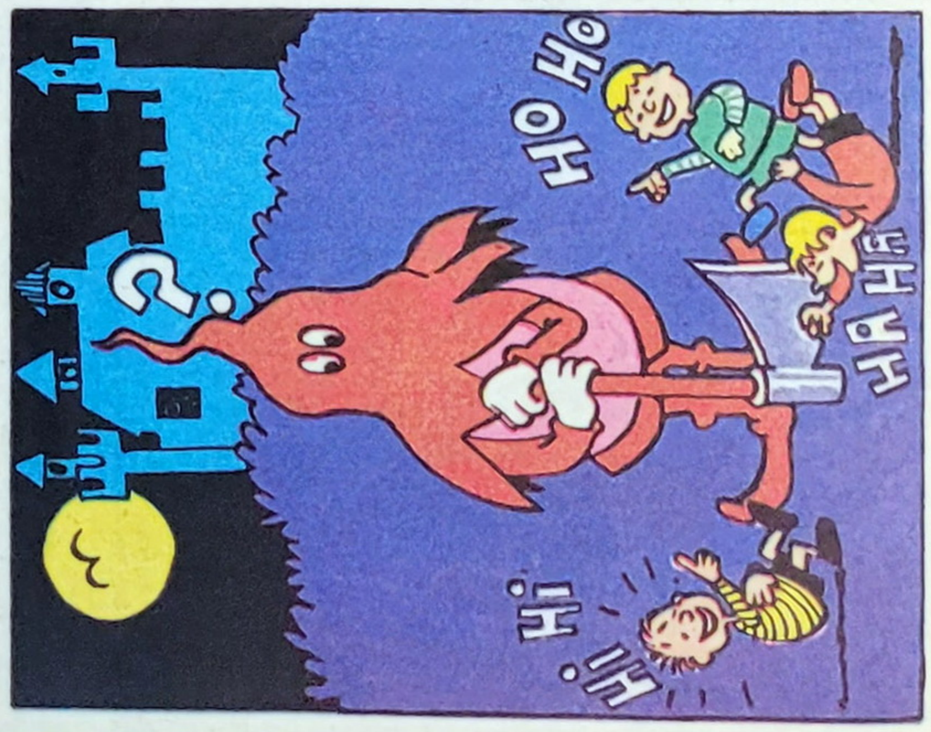

Zadanie 3

WYPRAWA DO MIEJSC, GDZIE STRASZY

W dniu . . . . . patrol . . . . .
ocenił wykonanie zadań wyprawy IX
CIEMNO WSZĘDZIE, GŁUCHO WSZĘDZIE
i przyznał sobie następujące ilości punktów

1. Zadanie treningowe	
2. Nocna gra	
3. Wyprawa do miejsc gdzie straszy	
4. Zawody wakacyjnych talentów	
Razem za całą wyprawę	

3×3

BANK MIEJSC CIEKAWYCH

CO SIĘ STAŁO Z KUNEGUNDĄ?

Zapraszam wszystkich włóczykijów do **Zagórza Śląskiego.** Może ono pochwalić się jeziorem, w którym bardzo fajnie się pływa pod okiem ratownika, również na kajakach.

Inną atrakcją turystyczną jest zamek **Grodno.** Jak wiele zamków, również on posiada swoją legendę — o pięknej Kunegundzie, córce księcia, która... no, nie opowiem dalej! Przyjedźcie i zobaczcie. Warto!

Będąc w Zagórzu, prawdziwy turysta nie omieszka powędrować szlakiem na **Wielką Sowę.** Jest to największy szczyt w tym paśmie, bo ma 1049 m npm. A stamtąd na pewno warto zajrzeć do schroniska „Zygmuntówka", które Wam gorąco polecam.

Daria Sakaluk
Świdnica

STARA RAWA

Byłam z rodzicami przez 5 dni w Rawie Mazowieckiej. Pierwsze wzmianki o grodzie pochodzą z 1249 roku. Za Kazimierza Wielkiego zbudowano tu zamek murowany, przeznaczony na więzienia. W latach 1455—1462 Rawa była stolicą Księstwa Rawskiego, później po włączeniu do Korony stolicą województwa. W Rawie bywali królowie: Zygmunt I Stary, Stefan Batory oraz Zygmunt III Waza. Za ich panowania miasto przeżywało największy rozkwit.

W czasie Powstania Styczniowego mieszkańcy Rawy i jej okolic stoczyli wiele potyczek z wojskami carskimi. W 1939 roku miasto zostało zniszczone, lecz po wojnie pięknie się rozbudowało.

Jak widać, Rawa ma ładną przeszłość, którą może się szczycić. Oprócz tych informacji są jeszcze na to dowody. W mieście jest wiele zabytków. Zachowała się np. baszta i resztki murów starego zamku książąt mazowieckich, ratusz klasycystyczny z 1822 roku wg projektu architekta Bonifacego Witkowskiego, a także domy murowane z XIX w. w Rynku.

Mam nadzieję, że moja relacja zachęci czytelników „Świata Młodych" do zwiedzenia Rawy Mazowieckiej, bo warto.

Izabela Rzeszowska
Wierzbno

„Dlaczego piszecie („ŚM" nr 63), że Ganimedes i Kallisto (księżyce Jowisza) są większe od Merkurego? Przecież średnica Merkurego wynosi 5140 km, a Ganimedesa — 4400 km, natomiast Kallisto jest jeszcze mniejszy"... — pisze Marek Olejnik z Wyrzyska.

Rzeczywiście, tak napisał kol. Bogdan Tarnowski i zamierzam go bronić, ponieważ uważam, że nie popełnił błędu. Otóż sprawdziłem wiele źródeł i okazało się, że każde z nich podaje inne dane. Np. WIELKA ENCYKLOPEDIA POWSZECHNA: średnica Merkurego — 4840 km, Ganimedesa — 4940, Kallisto — 4680 km. Radziecka Mała Encyklopedia „KOSMONAUTYKA": średnica Merkurego również 4840 km, Ganimedesa — 5600 km, a Kallisto w ogóle się nie wymienia. Robert Tocquet w książce pt. „ŻYCIE NA PLANETACH", wydanej w serii „Omega", podaje: średnica Merkurego — 5000 km, Ganimedesa — 5150, Kallisto — 5180 km. W podręczniku astronomii dla IV kl. LO K. Rudnickiego występują jeszcze inne dane. I bądź tu, człowieku, mądry!

Pozwoliłem sobie na dłuższe omówienie listu Marka Olejnika, bo poruszona przez niego sprawa warta jest szerszego omówienia. Otóż podobnych przykładów niezgodności danych liczbowych można byłoby przytoczyć wiele. Co książka, co autor — to inne podaje parametry planet, księżyców, komet, nie mówiąc już o odległych gwiazdach i galaktykach. Niewątpliwie jest w tej dziedzinie bałagan. Ale należy rozumieć skąd on się bierze. Wydaje się, że głównym powodem jest niedokładność pomiarów astronomicznych (duże odległości). Tak więc, jeśli czytacie książki astronomiczne, musicie pamiętać, że występujące w nich dane liczbowe są przybliżonymi wartościami rzeczywistych odległości i wielkości.

Do zobaczenia za tydzień

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

Mimo że Urana można dostrzec gołym okiem na niebie, nie znano go w starożytności i został odkryty dopiero za pomocą lunety. Wiosną 1781 roku konstruktor teleskopów, W. Herschel dostrzegł wśród słabych gwiazd jedną, która przedstawiała się nie jako punkt, lecz tarcza. Następne obserwacje wykazały, że obiekt przesuwa się wśród otaczających gwiazd. Na cześć odkrywcy nazwano ją jego imieniem, dopiero potem przyjęła się nazwa planety URAN. Po odkryciu okazało się, że Uran był już wcześniej obserwowany przy różnych okazjach 16 razy, ale nikt z obserwatorów nie przypuszczał, że ma przed oczyma nową wielką planetę.

Uran wyróżnia się osobliwym ruchem wirowym. Wiadomo, że płaszczyzny orbit planet są nachylone do siebie pod różnymi niewielkimi kątami, a również osie obrotu nie są ściśle prostopadłe do płaszczyzn ich orbit. U większości planet są to odchylenia niewielkie. Nie można tego powiedzieć o Uranie, którego oś obrotu tworzy z prostopadłą do płaszczyzny orbity kąt 182 stopnie, a przy tym kierunek obrotu jest wsteczny. Nachylenie osi obrotu planety do płaszczyzny orbity decyduje o rozkładzie stref klimatycznych.

Powierzchnie planety można podzielić na pięć zasadniczych stref klimatycznych. Pierwsza, to strefa tropikalna, obejmująca obszary bliskie równika planety, na które Słońce świeci czasem prostopadle. Strefa tropikalna rozciąga się po obu stronach równika planety aż do szerokości równej nachyleniu osi planety do kierunku prostopadłego z orbitą. Dwie inne strefy charakterystyczne, to strefy polarne, w których Słońce czasem w lecie — w ogóle nie zachodzi, a kiedy indziej — w zimie w ogóle nie wschodzi. Rozciągają się one od biegunów aż do odległości kątowej, równej nachyleniu osi planety. Pomiędzy strefami polarną a tropikalną znajdują się jeszcze dwie strefy umiarkowane. Równoleżniki oddzielające strefę polarną od umiarkowanej nazywają się kołami podbiegunowymi, równoleżniki ograniczające strefę tropikalną — zwrotnikami.

Taki podział na strefy nie dotyczy tylko planet zwracających się ku Słońcu stale tą samą stroną (Merkury). Przy nachyleniu (182 st.) Urana koła podbiegunowe leżą bliżej równika niż zwrotniki, odległe o 8 st. od bieguna.

Uran niewątpliwie jest otoczony bardzo grubą atmosferą. Jego średnia gęstość, wynosząca 1,26 g na cm sześc., zbliżona do gęstości Jowisza, może być wskazówką podobnej budowy fizycznej. W odpowiednio grubej atmosferze prądy gazów mogą przenosić dużą ilość ciepła i w znacznej mierze wyrównywać różnice temperatur. Nie trzeba też myśleć, że w chwili, gdy Słońce znajduje się w zenicie nad jakimś miejscem Urana, panuje tam tropikalny upał w ziemskim znaczeniu tego wyrazu. Uran jest odległy od Słońca o 19 jednostek astronomicznych i średnia temperatura jego powierzchni wynosi zaledwie — 180 st. poniżej zera. Uran widać, jako planetę świecącą 5,5—6 wielkości gwiazdowej. Analiza widmowa wykryła na Uranie: amoniak, metan i wodór. Obrót wirowy trwa około 11 godzin. Uran ma 5 księżyców. Ciekawe jest to, iż księżyce Urana grupują się na ogół wokół planety zgodnie ze swymi rozmiarami. Najbliżej krąży Miranda (średnica tego księżyca jest nieznana), dalej znajdują się: Ariel (średnica: 900 km), Umbriel (średnica: 700 km), Tytania (średnica: 1700 km) i Oberon (średnica: 1600 km).

Andrzej Roziewicz
z Nysy

P.S. W opisywaniu Urana korzystałem z książki K. Rudnickiego pt. „Pogadanki o planetach".

TAJEMNICZE ZACHOWANIE SIĘ „PIONIERA 10"

Amerykańska automatyczna stacja międzyplanetarna „Pionier 10", wystrzelona w marcu 1972 roku i odległa obecnie o prawie 2 miliardy km od Ziemi zaczęła z niewiadomych powodów wirować wokół osi.

Zjawisko to zaintrygowało uczonych z ośrodka łączności kosmicznej w Mountain View, którzy nie zdołali — jak dotąd — ustalić przyczyn wirowania. Przypuszczają oni, że może to być rezultat niewielkiej awarii na pokładzie stacji, lub nieznanej siły działającej na „Pioniera 10". Jeden z uczonych wysunął hipotezę, że stacja napotkała na swojej drodze obszary „pyłu".

„Pionier 10" przeleciał 3 grudnia 1973 roku w pobliżu Jowisza (przesłał wówczas na Ziemię m. in. 80 barwnych zdjęć tej planety) i obecnie znajduje się w połowie drogi do Saturna. W 1978 roku stacja opuści na zawsze Układ Słoneczny.

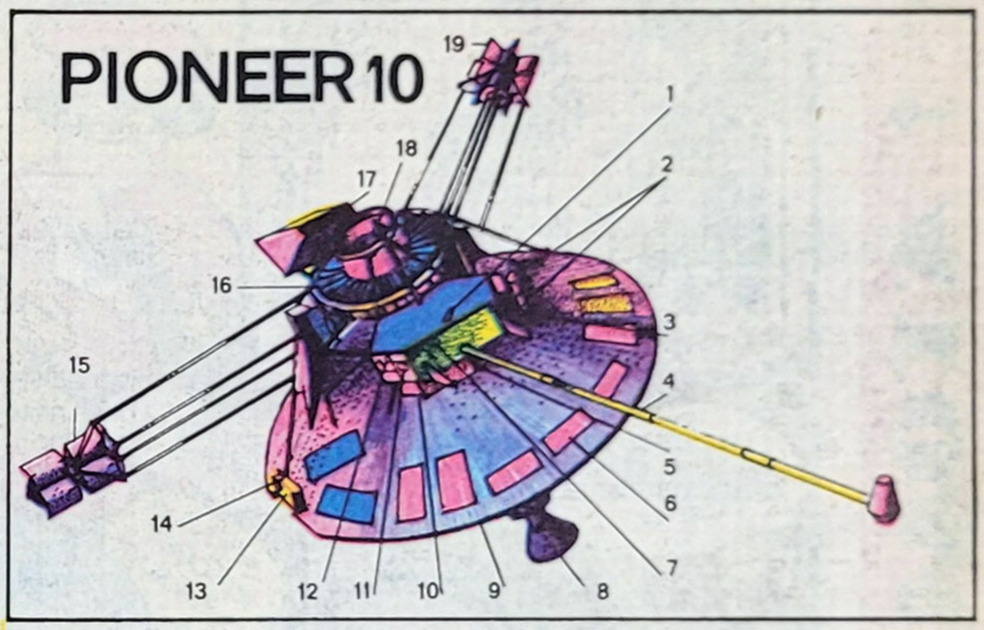

1 — ultrafioletowy fotometr; 2 — dysze sterujące; 3 — urządzenie rejestrujące promienie gamma; 4 — magnetometr; 5 i 12 — urządzenia rejestrujące cząstki gazowe; 6 — detektory meteorytowe; 7 i 10 — urządzenia pomiarowe promieniowania kosmicznego; 8 i 9 — anteny kierunkowe; 11 — urządzenie rejestrujące promieniowanie w podczerwieni; 13 i 14 — urządzenia mierzące promieniowanie słoneczne; 15 i 19 — baterie izotopowe; 16 — system regulujący temperaturę wewnątrz Pioniera; 17 — detektor meteorytowy i asteroidowy; 18 — antena.

chów. Przechodnie przystawali na widok zawodników z herbem peruwiańskim. Wielu witało się z nimi i zagadywało. Czuło się, że całe to olbrzymie miasto żyje w tych dniach sportem. Na autach furkotały chorągiewki z symbolami ligrzysk. Amaru po raz pierwszy odczuł w tym dniu, czym jest nastrój wielkich zawodów. Odnajdywał go w zaciekawieniu przechodniów, zafrasowanych działaczy, niecierpliwości dziennikarzy, skrywanym niepokoju zawodników, w brzmieniu różnych języków, rozmaitości rysów, barw skóry, nieznanych pieśniach wieczorem w obozie, obcych zapachach ulic.

— Stoicie przed pałacem La Moneda — objaśnił przewodnik. Młody człowiek mówił z przejęciem o każdym zwiedzanym zakątku. — Na dziedzińcu jest kran z miedzi, historyczny, bo z niego popłynęła pierwsza woda w mieście. Kiedyś była tu mennica, obecnie jest siedziba Prezydenta Allende. My, Chilijczycy — powiedział z dumą — chlubimy się tym, że jesteśmy krajem, w którym nigdy nie przelano krwi w walce o władzę.

Do rozpoczęcia biegu na pięć kilometrów pozostawało półtorej godziny. Amaru spakował się i wyszedł do hallu, gdy zawołano go do telefonu. Kierownik ekipy bawiący od rana na stadionie, chciał mu przypomnieć, by na czas wyjechał ze studenckiego miasteczka. Amaru zapewnił, że się nie spóźni. Przez oszkloną ścianę widział autobus; wsiadała do niego grupa oszczepników z Boliwii. Usłyszał jeszcze, że Teofilo wszedł do finału dwustu metrów z doskonałym czasem. Odwiesił słuchawkę i wyszedł na ulicę. Do autobusu tłoczyły się zawodniczki Wenezueli. Stanął za nimi, czekając aż wsiądą, kiedy podszedł do niego nieznany mężczyzna.

— Paolo Martin jestem — przedstawił się — chciałem — powiedział jakby z zażenowaniem i nieśmiałym uśmiechem — prosić cię o autograf, tutaj, na tym — pokazał gazetę „Życie Sportowe" z fotografią Amaru na pierwszej stronicy. Podsunął długopis, Amaru podpisał.

— Ja — mówił Paolo Martin, jakby wciąż zawstydzony swą śmiałością — ja wierzę, że wygrasz, chociaż zdania są różne. Czekałem tu dwie godziny, żeby zdobyć twój podpis.

— Przepraszam — powiedział Amaru — autobus zaraz rusza.

Mężczyzna obejrzał się z roztargnieniem.

— Ach! — uderzył się w czoło. — Przecież ja mam tu samochód! — brzęknął kluczykami. — Proszę, zrób mi tę uprzejmość i pojedź ze mną na stadion, będziemy dwa razy prędzej, niż ten stary klekot — złożył błagalnie dłonie. — Proszę jak o łaskę, to będzie legenda rodzinna. Paolo wiózł na stadion słynnego biegacza, który dzięki temu pobił rekord świata... — wskazał dłonią stojącego nie opodal forda.

Amaru roześmiany dał się zaprowadzić do wozu. Paolo otworzył przed nim drzwiczki i z głębokim ukłonem zaprosił do środka. Sam obiegł wóz dokoła i usiadł za kierownicą. Ruszył równocześnie z włączeniem zapłonu i od razu znaleźli się przed autobusem, który rozsiewając chmurę dymu z wolna nabierał szybkości. Za chwilę wpadli w sznur pojazdów i prędkość nieco zmalała. Paolo Martin nie odrywając spojrzenia od szyby powiedział:

— Nie wiesz nawet jaki to zaszczyt dla mnie. Zawsze podziwiałem wielkich zawodników. Jak można być tak spokojnym! Przecież za chwilę rozegra się wszystko. Ja — szukał w myśli, — ja bym chyba wybuchł, gdybym musiał czekać! Ostatnia godzina musi być najgorsza — skręcał z ulicy w ulicę ze zgrzytem opon. — Mamy mnóstwo czasu — powiedział — stąd na stadion osiem minut. Co byś powiedział, gdybyśmy wpadli na wzgórze Świętego Krzysztofa? Widać z niego całe Santiago — skręcił w Aleję Opatrzności, przeskoczył mostem rzekę Mapocho i gnali już stromo wznoszącą się ulicą. — Mówię ci — zapewniał — to jest widok, jaki pamięta się przez całe życie. Dziś powietrze jest czyste, będzie widać Andy.

— Wolałbym — odezwał się Amaru — być na stadionie wcześniej.

Nie sprzeciwiał się jednak. Pomyślał, że dobrze będzie przed startem, choć na chwilę wyrwać się z miasta, z jego ciasnych ulic, strumieni samochodów. Chciał zobaczyć daleki widnokrąg, góry łączące się z niebem.

Dachy zostawały w dole, wzrok sięgał do coraz odleglejszych dzielnic.

— Chcę — mówił Paolo — żebyś wyniósł jak najlepsze wspomnienia z mojego miasta. Ja tu wpadam co tydzień, żeby popatrzeć z góry i nigdy nie mam tego dosyć.

Ocieniona drzewami szosa wznosiła się spiralą i wyprowadziła na platformę pod szczytem. Otaczały ją korony starych dębów i skałki. Paolo jak przedtem otworzył drzwi przed Amaru.

C.d.n.

PAPCIO CHMIEL

TYTUS, Romek i A'TOMEK

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki, Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wojciech Pielecki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodoreczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska, Bożena Zwolińska.

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-41
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-19

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA — RSW „Prasa—Książka—Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00—561 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A. Telefony: Dyrektor 28-99-77, Dział Wydawniczy 29-15-52, 29-56-13. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo - telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Wronia 23, 00-840 Warszawa, konto PKO I-6-100024. Sprzedaż numerów zdezaktualizowanych na pisemne zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa.

Opracowanie graficzne: Tadeusz Baranowski

Redakcja techniczna: Teresa Wojtowicz

DRUK: Państwowe Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego" Warszawa.

Zam. 31/3132 B-12

Nr indeksu — 35035/35045

MACIEJ KUCZYŃSKI

ZWYCIĘZCA

24.

Zawodnicy zamieszkali przy parku La Quinta w nowoczesnym miasteczku studenckim. Stąd mieli ich dowozić autobusami na Stadion Narodowy. W jadalni Amaru natknął się na pana Bravo, który przybył do Santiago już wcześniej. Ukłonił się, ale trener jakby go nie spostrzegł zajęty rozmową.

Kładli się już spać, gdy do pokoju zajrzał kierownik ekipy. Ujrzawszy palące się światło, wszedł i zamknął drzwi za sobą.

— Masz gościa — powiedział do Amaru — nie udało mi się go wypłoszyć, powiedział, że musi cię poznać osobiście.

— Może jutro? — spytał Amaru.

— Nic z tego. Siedzi w hallu i upiera się, że nie wyjdzie. Wpuszczę go tutaj, może jak zobaczy, że jesteście już prawie w łóżkach nie będzie za dużo gadał. To Joao, ten brazylijski biegacz. Uważany za najpewniejszego zwycięzcę „piątki". Już słyszał o tobie z gazet.

Joao był wysoki i szczupły, miał skórę ciemną i błyszczącą. Puściwszy klamkę, od razu skierował się w stronę Amaru, choć Teofilo siedział bliżej wejścia. Wyciągnął szeroką dłoń do powitania, równocześnie siadając na łóżku. Mówił bez przerwy, mlaskając językiem i przewracając oczami. Najchętniej patrzył w sufit nad głową Amaru. Starał się mówić po hiszpańsku, ale przekręcał słowa i co chwilę wtrącał kilka portugalskich.

— Usłyszałem, że przyjechali peruwiańczycy, więc zaraz mówię sobie, Joao idź się przywitać z Amaru, twoim przyjacielem i powiedz mu, że Joao z całą pewnością jest jego przyjacielem, choćby inni powtarzali sto razy, że jest inaczej. Tak sobie myślę, że jeśli mam się z tobą spotkać na jednej bieżni, w jednym biegu i jeden z nas musi wygrać, no, to lepiej, żeby wygrał mój przyjaciel niż wróg, no nie? — wyszczerzył białe zęby i ciągnął: — I myślę sobie, że jak już ja wygram ten bieg, to i tobie będzie przyjemniej, że pierwszy był twój przyjaciel, Joao, i nie będziesz miał do mnie żalu, mam rację? Powiedz, nie będziesz miał żalu?

— Nie — odparł Amaru przygryzając wargę.

Teofilo za plecami gościa zakrył usta ręką. Zgasił lampkę przy swoim łóżku i schował się pod kocem. Joao obejrzał się.

— Już późna pora — oznajmił — ale musiałem tych kilka słów powiedzieć, nie mógłbym usnąć bez tego. Moi kibice ciągle ze mnie żartują, mówią, że Joao się skończył i przegra z Amaru. Przyjechała ich tu cała gromada, będą krzyczeć i trąbić na stadionie. Tak żartują, ale naprawdę to nie pozwolą mi przegrać, jak myślisz, przegram z tobą? — nie czekał na odpowiedź. — Nie mogę przegrać, nie miałbym po co wracać do Brazylii, rozerwaliby mnie na strzępy! Jak myślisz, zrobisz taki sam czas jak w Arequipie? — znowu nie czekał na odpowiedź Amaru, zerwał się i tyłem cofał ku drzwiom — Joao, powiedzieli mi, od trzech lat nie przegrałeś żadnego biegu, można na ślepo założyć się o każdą sumę, że wygrasz, więc i teraz nie możesz okazać się gorszy. Choćby sam diabeł zstąpił z Andów i chciał się z tobą ścigać. Więc myślę sobie, że wygram z tobą, bo nie wiem, co by się ze mną stało, po prostu nie mogę sobie wyobrazić, co by mi zrobili, gdybym... — nie dokończywszy zdania Joao znikł w korytarzu. Zaraz jednak ponownie wsadził głowę do pokoju. — Pomyślałem, że możesz sądzić, że Joao boi się tego wyścigu, więc chcę cię zapewnić, że strach nie ma tu nic do rzeczy. Po prostu powiedziałem sobie, Joao idź się przywitać z Amaru — zniknął już na dobre.

Teofilo wystawił czerwoną twarz spod koca.

— Jaki jest, taki jest — rzekł chwytając oddech — ale biegacz z niego dobry. W Brazylii modlą się do niego. Póki nie zacznie przegrywać. Lepiej nie wchodź w drogę jego wielbicielom.

Rano odbył się trening całej ekipy na stadionie Independencja. Po południu zwiedzano miasto. Wysiadali z autobusu, aby pieszo wchodzić do parków i na dziedzińce gma-

Dokończenie na str. 7